

Undergroundowy fryzjer

„...Przejrzyście przedstawiona metoda splatania, konkretne informacje, Wrocław, dreadlocks, dread, dreads, dredy, dredolina, robienie, zaplatanie, przedłużanie...” (adres : strona internatowa)

„ Chcesz wyglądać niebanalnie? Zrób sobie dready! Dzwon...”

Na taką promocję siebie postawiła Olka. Jest znaną dreadmakerką we Wrocławiu. Z oferowanych przez nią usług skorzystali moi znajomi: Wojtek, Maciek, Ruda, Zosia i Beata. Chociaż powody zmiany ich wizerunku były zupełnie różne (dla chłopców – jak się później okazało, dredy miały być swoistą przynętą na dziewczyny, z kolei moje koleżanki chciały podkreślić swą przynależność do kultury rastafarian), to wszyscy oni zachwycali się nie tylko jej nieprzeciętnymi umiejętnościami Oli, ale też niebanalną osobowością. „Atrystka!”, „Perfekcjonistka!”, „Wulkan energii!”, „Przesympatyczna!”, „Nietuzinkowa!”, „Potrafi uskrzydlić nawet słońia!” – to tylko niektóre z epitetów, jakie usłyszałam pod jej adresem. Jako osoba ciekawa świata i ludzi postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej zarówno o tej „barbarzyńskiej fryzurze”, jak i o samej jej twórczyni.

Potem wszystko potoczyło się gładko: telefon do Oli, serdeczna rozmowa i (najważniejsze) – umówienie się na spotkanie...

Jest poniedziałek. O wyznaczonej godzinie zbliżam się do miejsca naszego spotkania. Przez całą drogę zastanawiam się, czy złapiemy kontakt ze sobą. Odnoszę dziwne wrażenie porównywalne z pierwszą randką z nieznanym z czatu: wiem, jak wygląda oraz że fajnie mi się z nim rozmawia, pozostaje przy tym jednak niepewność, czy koleś rzeczywiście podawał się za takiego, jakim jest.

W przypadku Oli moja intuicja podpowiada, że rozmowa odbędzie się w doskonałej atmosferze. Docieram pod halę. Poznaje ją od razu. Jest dokładnie taka, jak się opisała, tzn. mała, drobniutka, z blond dreadami do pasa – są cudowne!. Przypatrując się jej z bliska zauważam kolczyki w uszach, pojedynczy w nosie i w wardze, co w zestawieniu z niebanalnym strojem specjalnie mnie nie zadziwia. Kończy właśnie dyskusję ze znajomym, z którym nie omieszkała mnie zapoznać, a następnie udajemy się do jej pracowni.

Nie jest daleko, jakieś 5 minut od Hali Targowej. Przez ten króciutki odcinek drogi moja bohaterka zaczyna opowiadać jak przebiegł jej dzisiejszy dzień, w ogóle jest bardzo sympatyczna i otwarta, co widać na pierwszy rzut oka. Kiedy zziębnięte docieramy na miejsce, dreszcz przebiega mi po plecach, do końca nie wiem, czy spowodowany był on nieciekawą pogodą, czy raczej widokiem. Nie przebywałam dawno w takich miejscach: odrapane ściany, brak oświetlenia na korytarzu wywołują u mnie skurcz żołądka (nawet przebiega mi myśl o szybkim odwrocie, ale Ola chyba wyczuwa mój niepokój, zapewniając mnie spokojnie, że znajdujemy się już pod drzwiami).

Zdecydowanym ruchem przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka. Ciepło od piecyka elektrycznego i zapach kadzidełek przełamują mój opór.

- To jest moja „dziadownia” – podkreśla z dumą. Przepraszam za bałagan, ale niedawno się przeprowadziłam. Zajmowałam pokój obok, tyle że był większy i w zimie ogrzewanie go nie kalkulowało się z moimi zarobkami. Ten wymaga małych poprawek, ale te nadejdą z czasem. Póki co kanapy są, jest na czym siedzieć, jest ciepłutko, bo grzeje piecyk i wiszą obrazy na ścianach. Namalował je mój sąsiad, który mieszka tu ze swoim chłopakiem:

dwa Pawły. Obok też mieszkają geje, jeden z nich jest absolwentem szkoły muzycznej, całymi dniami gra na skrzypcach, tak, że niekiedy niepotrzebne jest mi radio – zanoszą się śmiechem,

Niedługo potem Ola zaczyna opowiadać swoją przygodę z dreadami, która trwa nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

Na początku, oczywiście pojawiła się fascynacja...

- Wszystko zaczęło się od początku lat 90-tych. Szłam sobie ulicą, aż tu nagle widzę człowieka grającego na bębnach. Zagadnął mnie, żebym spróbowała się uczyć na nich grać. Spieszyłam się, więc nie miałam czasu z nim pogadać. Zwróciłam jednak uwagę, na jego włosy. Co on ma na głowie, cóż to jest? – zastanawiałam się. Potem, potem...a, tak zlot baptystów w Giżycku. Chociaż ich nie lubię, dałam się namówić koleżance. Tam roilo się od śpiewających gospel Murzynów z batami (to inne określenie dreadów, najczęściej używane jako slang fryzjerów). Po powrocie do domu poznałam paru prawdziwych rastafarian – zaczęli powoli przybywać do Wrocławia, w końcu to miasto jest enklawą dla wszystkich kultur. Wszystko to sprawiło, że pewnego pięknego dnia poprosiłam moją znajomą o skręcenie mi dreadów. Efekt był komiczny, 28 batów na głowie, tak, tak DWADZIEŚCIA OSIEM! Masz pojęcie, jak to okropnie wyglądało wizualnie? Przecież to wychodziło po jakieś trzy dredy na środku głowy i po bokach, ale cóż można się było spodziewać po amatorach!

Pierwsze próby...

W zasadzie to powinnam być jej wdzięczna, bo tak naprawdę dzięki niej odważyłam się spróbować. Królikiem doświadczalnym byłam... ja sama. Wkurzyłam się na to, co ciągle widziałam w lustrze i na ciągle pretensje mojej dziesięcioletniej dziś siostry, że się mnie boi. Wtedy jedynym rozwiązaniem było rozplątanie ich i zrobienie sobie „takich po Bożemu”. Cóż, nie miałam innej perspektywy. Tak, jak postanowiłam, tak zrobiłam. Sama je rozwalłam i od nowa skręciłam. Widzisz, jak wyglądają. Zapewniam cię, Basiu, teraz jest zdecydowanie lepiej i... więcej - 64. Jest różnica, prawda?

- Zdecydowanie tak.

Nie koniec tego (eksperymentowania)

Później znalazłam w szafie Piotrka, mojego męża, sztuczne włosy, też zrobiłam z nich dredy (ciekawe, skąd się u niego wzięły syntetyki? - eee nieważne). Kolejnym krokiem było szkolenie się u profesjonalistów. Jakoś tak się złożyło, że pojechałam do mojej mamy do Berlina. Tam na ulicach pełno było Murzynów. Handlowali koralikami, grali na ulicach i - co najważniejsze - otwierali sklepy dla dreadmakerów. Mogłaś tam znaleźć wszystkie kosmetyki służące do pielęgnacji batów. To właśnie w takim miejscu poznałam tajniki prawidłowego skręcania: pierwsza polega na rozdzielaniu włosów, tapirowaniu, nakładaniu na nie odpowiedniego wosku lub żelu i kolistym skręcaniu, druga zaś różni się skręcaniem wzdłuż. Którą metodę ja stosuję? Tę pierwszą. Wydaje mi się lepsza, jednak staram się nie używać żadnych kosmetyków. Są one drogie i trudno dostępne na naszym rynku. Jeśli mogę dać radę wszystkim fryzjerom, to brzmi ona następująco: ludzie, po co wydawać krocie na zagraniczne produkty? Przecież mamy rodzimy i domowy wyrób – wosk pszczeli! Śmiało może być stosowany zamiast tych innych „upiększaczy – wspomagaczy”.

Machina ruszyła...

Kiedy zaczęłam zajmować się tym na poważnie? – Ola zastanawia się nad pytaniem zadany przez mnie – Wydaje mi się, że trzy -, cztery lata temu. Wiem, że była wtedy zima.

- Trzy lata temu – z pomocą przychodzi Piotrek. Dołączył do nas przed chwilą. Właśnie wrócił z pracy i zmęczony przysiadł się obok nas z puszką coli w ręku.
- A, tak faktycznie. Tę dziadownię przecież wynajmuję gdzieś od zeszłorocznych wakacji.
- Na początku było ciężko, wspomina mąż Oli. Sami nie mamy własnego mieszkania. Wynajmujemy kawalerkę. Kiedy przychodzili do Oli klienci, spędzali w naszym mieszkaniu cały dzień. Ja wtedy nie miałem się gdzie podziać. Brałam książki i szedłam do kuchni. Wiadomo jednak jak się żyje w kawalerce: mała kuchnia, łazienka, nie wspominając o pokoju. A o ten właśnie pokój najbardziej mi się rozchodziło – przecież to była nasza sypialnia, salon, pracownia, a tu przychodzą obcy ludzie i widzą to wszystko. Tak, od kiedy Olina jest w Młynie, naprawdę jest dużo lepiej.

Czy to prawda, że –

włosy Murzynów są wprost stworzone do robienia z nich dredów? – nie mogę się powstrzymać przed zadaniem tak stereotypowego pytania.

- Nie, to nieprawda – Ola obala krążący mit – oni mają takie same włosy jak my. No, może są one grubsze, ale to nie powoduje, że dredy robią im się same! Przecież nie rodzą się z nimi. Trzeba ich włosom poświęcić tyle samo czasu, co każdym innym. Wiem coś o tym, bo napatrzyłam się na nich w Niemczech i przedłużałam niedawno dredy pewnemu Murzynowi. Przeciętnie czas skręcania batów wynosi od 6 do 10 godzin. Jedyną różnicą, jaka istnieje przy ich robieniu, jest powłoka włosa: czy jest on śliski, czy matowy. Jeżeli śliski, to trzeba go skręcić mocniej i poprawiać częściej, żeby włosy nie wychodziły. I to jest jedyna różnica.

W potoku wypowiedzianych słów, Ola na chwilę przerywa swój monolog, i z miną porównywalną z kotem w butach ze „Shreka 2” patrzy na popielniczkę.

- Mogę?
- Jasne, przecież jesteś u siebie – odpowiadam zdziwiona.
- Przepraszam, że cię, osmrodzę, ale taki mi się chce palić, muszę złapać trochę powietrza (z wyraźną ulgą sięga do torebki i wyjmuję z niej paczkę papierosów). Jasna cholera, nie mam zapalek!
- To odpal od piecyka.
- Wiesz, to dobry pomysł!
- Ola, ja tylko żartowałam – nieomal podskakuję z przerażenia, widząc, jak niebezpiecznie blisko pochyla się nad rozpalonym piecykiem. - Przecież możesz sobie spalić włosy albo ubranie!
- A, co tam! Basiu napisz, że odpalałam od piecyka, dobrze – wskazuje mi z dumą tłący się żar.

Zagłębienie dredów

Zaraz, zaraz o czym to ja mówiłam – Ola stara się złapać wątek - aha, już wiem. Otóż swojej pracy poświęcam jak najwięcej czasu i energii. Jeżdżę do klientów do Świdnicy, Wałbrzycha, Jeleniej Góry. Oprócz tego, jeżeli widzę, że ktoś ma kłopoty finansowe, rozkładam płatność w ratach. Mam najniższe ceny we Wrocławiu. Mój zawód wiąże się z pewnymi niewygodami. Mam o taki kręgosłup (tu znakiem ręką zakreśla kształt ryby) – to wszystko przez pracę w jednej pozycji ponad 10 godzin dziennie. Że nie wspomnę o bąblach na palcach. Skąd? Od ciągłego przewlekania włosów. Są już takie wyrobione, że nie czuje, kiedy szydełko przebije moja skórę. Nieprzyjemne uczucie, kiedy musisz wyciągnąć

szydełko, które przeszło ci palec na wylot. Najzabawniejsze są przy tym miny klientów. To ich przerażenie w oczach, kiedy macham im szydełkiem. Mam dużo roboty, bo Wrocław jest zagłębiem dredów. Nigdzie indziej nie ma nas aż tak wielu. Słyszałam, że w Krakowie nastała moda na warkoczyki i baty. W Szczecinie też kiedyś byli rasta, ale wszyscy się ścięli – wieśniaki.

Patrzę na Olę i nie mogę wyjść z podziwu; ona jest naprawdę zadowolona z życia. Tyle opowiada o sobie, o swojej pasji, jest przy tym tak naładowana energią, aż od niej bije! Dziwię się, że tak otwarcie ze mną rozmawia, ale Ola taka jest. Cieszy ją wszystko i wszyscy.

- Jak idę ulicą i widzę ludzi w dredach, uśmiecham się do nich. Nieznajomi ludzie odwzajemniają ten gest. A w Polsce tak mało ludzi się uśmiecha! Uważam, że nasze pokolenie to pozostałości po hipisach. Ja w porównaniu z dziećmi, które do mnie przychodzą, jestem zgredką, mam 28 lat, ale duszę szesnastolatki! Idę sobie ulicą, uśmiecham się do swoich, od razu mi lepiej.

Marihuana i szpan

Ostatnio tyle się wśród nas namnożyło ludzi z batami. Też to zauważyłaś? Nie wiedzą, że podstawą tej kultury jest miłość i szczęście. Blondynki i szpanerzy, którzy chcą być modni. Łatwo ich rozpoznać, przykład: idę sobie chodnikiem i uśmiecham się do jakiejś dziewczyny. A ona do mnie z miną znaczącą: co chcesz? Ooo, przepraszam, myśli sobie: jestem, kurde, taka ważna, nie zaczepiajcie mnie! Nic mnie tak nie wkurza, jak głupi stereotyp – większość myśli, że jak mam baty, to jestem dilerem. Gówno prawda! Jestem absolutnie przeciwna marihuanie! Nie palę i nie rozprowadzam, a niedowiarkom posyłam taki tekścik: na pytanie, czy coś mam, odpowiadam – tak marihuana wyrasta mi z dredów, a lufki mam w środku.

Moja ostatnia wpadka

W przerwach między opowiadaniem o dredach, Ola wplata zabawne historie ze swojego szalonego życia, których była uczestniczką.

- Basińko, wiesz kim jest Leszek Możdżer ?
- No wiem. Świetny artysta i kompozytor.
- Mój ulubiony. Coś ci opowiem. Nie tak dawno robiłam baty jednej znajomej aktorce z teatru muzycznego. Siedzę z nią po skończonej robocie, przy kawie, w ciemnym pokoju, byłam zwrócona twarzą do okna. Nagle wszedł jakiś chłopak (podobno Możdżer), ale coś mi się nie wydawał. Był za niski, za gruby, myślę – to nie on. Zaczęliśmy rozmawiać. Po jakimś czasie wszedł drugi facet – bardzo podobny do tego, z którym rozmawiałam. Nie wytrzymałam i powiedziałam: co wy tak robicie się na Lecha? Wiesz, co się okazało ?
- Pojęcia nie mam.
- Że ten pierwszy to był Możdżer, a ten drugi, to jego menadżer! No szczena mi opadła do samej ziemi. Taki wstyd! Na koniec Lechu mi powiedział (jeżeli to był naprawdę on), że zrobi sobie u mnie dredy. Mój idol! Już nie mogę się doczekać.

The End

Spędziłam u Oli ponad dwie godziny. Wyszłam w ciemny i zimny Wrocław, kierując się do tramwaju jadącego do Nadodrza. Pomimo późnej godziny i burzącego brzucha nie byłam zmęczona (zdziwiłam się, ponieważ moje eskapady do tegoż miasta zawsze miały taki finał). To pewno za sprawą charyzmy mojej bohaterki. Naładowała mnie swoją energią i wlała we mnie trochę ciepła i szczęścia, do tego stopnia, że być może zapuszczę włosy i spotkam się z nią ponownie, już na innym gruncie.

Basia Wojtkowiak

